

Anna Nasiłowska

Biblioteka

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6 (54), 1-4

1998

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

teksty

D R U G I E

6
1998

Dwumiesięcznik
Instytutu
Badań
Literackich
PAN

TEORIA LITERATURY KRYTYKA INTERPRETACJA

Biblioteka

Bez szumnych uroczystości, sesji, ksiąg pamiątkowych i oficjalnych obchodów Instytut Badań Literackich skończył 50 lat. Żyją jeszcze tacy, którzy pamiętają początki. Nie wspominają ich najlepiej – nie da się ukryć, że nowy instytut powołany został po to, aby wykreować prawdziwą, marksistowską naukę o literaturze. A że do tej placówki ściągnięto umysły wybitne, więc i samodzielne, wszystko potoczyło się inaczej, niż było w pierwotnym zamyśle przewidziane. Przy tym kolejne zakrety historyczne pojęcie „właściwej linii” czyniły coraz bardziej iluzorycznym, aż doszło do czasów, które już sama pamiętam, gdy Instytut uważany był za siedlisko opozycji.

Studentom UW, widziany z perspektywy Krakowskiego Przedmieścia, wydawał się Pałac Staszica jakąś świątynią wiedzy, niedostępną, a przez to tym bardziej kuszącą. Potem okazało się, że przekroczenie jej progu nie jest takie straszne, bo w środku spotkać można ludzi niestychanie otwartych, wrażliwych i zupełnie nieskorych do traktowania serio hierarchii stopni naukowych, która „normalnie myśląc” mogłaby stwarzać wielki, nieprzezwyciężalny dystans między profesorem-tytanem a młodym adeptem. Nawet tytułów naukowych używa się w Instytucie Badań Literackich rzadko, nie dlatego, że się je lekceważy, ale raczej z zawstydzienia, gdyż nie są one w stanie oddać rzeczywiście mia-

ry zasług. Gdyby się na to silić, trzeba by już dawno wymyślić hiperprofesorów, a i w kilku wypadkach zgodzić się również na bardziej odpowiedni tytuł *Maestro* (uwzględniając formę *Maestra*), gdy do wiedzy dochodzi jeszcze coś nieuchwytnego – intuicja i Sztuka.

Myślę, że Pałac Staszica słusznie wydawał się świątynią. Przecież jako świątynia został zbudowany. Genius loci jest widać czytelny, nawet jeśli musi przedzierać się przez zafalszowania. Stanisław Staszic, fundator pałacu, był dziwnym księdzem: przy ołtarzu raczej go nie widywano. Sam wspominał, że wybrał stan duchowny ze względu na śluby, jakie poczyniła jego matka. Uwielbiał przedstawienia teatralne, i choć uważano za niestychane, a nawet gorszące, by w tak niskich uciechach uczestniczyły osoby stanu duchownego, to bywał na nich w przebraniu. A że o jego skąpstwie krążyły legendy – przemykał się więc w rudej peruce na trzecie miejsca, choć panował tam ścisk i widać nie było wiele. Skąpy był dla siebie, a z własnych funduszków wybudował pałac – Świątynię Wiedzy, siedzibę światłego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, któremu przewodniczył aż do śmierci. W latach pięćdziesiątych usiłowano ze Staszica zrobić kryptoateistę. To jednak ogromne nadużycie: Staszic przede wszystkim wierzył niezłomnie w wielką mądrość Stwórcy. A cóż może być większą pochwałą tej mądrości niż studiowanie praw natury, według których stworzony został świat? – chyba tylko praca nad racjonalną reformą zasad rządzących ludzkim społeczeństwem, czyli naprawa tego, co człowiek we własnej głupocie popsuł. Kopernik, o którego pomnik zadbał u wejścia, wydawał się autorowi poematu filozoficznego Ród ludzki ideałem.

Pałac do dziś zachował dostojeństwo, a duch Towarzystwa Przyjaciół Nauk, które świadomie po zaborach rozpoczęło pracę nad ocaleniem języka polskiego, to chyba nie najgorszy patronat na czasy PRL-u. Ja jednak genius loci Instytutu Badań Literackich umieściłabym w bardziej konkretnym miejscu – dokładnie w południowo-zachodniej części pałacu, w przyziemiu. Jest pewien warunek konieczny, bez którego Instytut istnieć nie może. Biblioteka!

Na cześć Biblioteki trzeba by pisać nie kilka słów, lecz peany i hymny pochwalne. Jej istnienie ma w sobie coś tajemniczego. Spróbuję to przybliżyć na przykładach.

Jak to się dzieje, że np. jakiś dobry duch kataloguje osobno trudny do znalezienia, a dla mnie niezbędny artykuł, który inaczej byłby nie do odzyskania, ukryty w roczniku rzadkiego czasopisma, o którym już

śluch zaginął? I na dodatek fiszkę umieszcza tak, żeby od razu ją znalazła?

Albo inaczej: studiując jakiś gruby tom w obcym języku odkrywam nagle, że na zajmujący mnie temat dawno już napisano kilka książek, a co więcej, jeśli nie przeczytam dzieła X, założmy skryptu po niemiecku, wydanego przez Wolny Uniwersytet w Berlinie Zachodnim, w latach, gdy żelazna kurtyna trochę się uniosła, ale bynajmniej nie stała się tylko dekoracyjną firanką, to mogę z góry uznać moje przemyślenia za amatorszczyznę jedynie, a wszelkie wnioski odłożyć. Przez jakiś czas trwam w niepewności, czy czeka mnie wyjazd, może niezbyt daleki, ale uciążliwy i kosztowny, a przede wszystkim wcale nie gwarantujący sukcesu, bo nie jest tak łatwo w obcym mieście, w plątaniu instytucji, odnaleźć od razu to właściwe miejsce, gdzie owo dzieło X stoi i gdzie na dodatek będą gotowi mi je udostępnić. Przeszuję spać w nocy, bo rozważam różne okoliczności, możliwości i warianty rozwoju sytuacji, łącznie z takim, by dać sobie spokój i zrezygnować z tematu. I kiedy po kilku dniach, wyczerpana nerwowo, właściwie na skraju załamania, pojawia się wreszcie w Bibliotece i bez większej nadziei szukam w katalogu – okazuje się, że to dzieło JEST. Czekano na mnie, nieczęsto używane przez innych przede mną czytelników, co tym bardziej zadziwiające, bo mój ruch został już jakoś zaprogramowany i przewidziany z góry. Czy nad czytelnikami czuwa specjalna, filologiczna Opatrzność Biblioteczna?

Nie umiem inaczej wyjaśnić tego typu cudownych zdarzeń, których każdy użytkownik Biblioteki niezawodnie mógłby przytoczyć dużo więcej, jak czynnikami nadprzyrodzonymi albo idealną więzią empatyczną, uprzedzającą zachowania przyszłego czytelnika. To zadziwia, tym bardziej, że często się zdarza, że im bardziej bibliotekarze kochają książki, tym gorzej znoszą sam fakt istnienia czytelników. Chcieliby po prostu uchronić powierzone im skarby przed tą szarańczą zaopatrzoną w ołówki i długopisy, zawsze gotową do podkreśleń, nie mówiąc już o smarowaniu swoich głupich uwag na marginesach, lub zgoła smarowaniu ich masłem! (o innych obrzydliwościach nie wspominając).

Nie potrafię wyjaśnić, jak to się dzieje, że właściwe książki tu trafiają. Bo przecież nie jest tak, że Biblioteka ma swoich specjalnych emisariuszy, którzy w poszukiwaniu odpowiednich dzieł przechadzają się nieustannie nad brzegami Sekwany, Sprewy a nawet Newy, nie mówiąc już o krajach zamorskich. Nie przesadzam w pochwałach. Nie jest prosto

na przykład w Paryżu zaspokoić taką fanaberię, jak postudiowanie dzieł niemieckich. Z anglojęzycznymi jest zwykle łatwiej, ale też bywa to trudne nawet w specjalistycznej placówce. Nowości trafiają na półki i do katalogu na ogół z dwuletnim opóźnieniem, a pracownicy bywają bezduszni. Trzeba jeździć po mieście, a opanowanie skomplikowanego systemu wymaga zdolności superagenta wywiadu.

Mądrość i ciepło bijące z naszej Biblioteki pozwala czuć się ciągle adeptem. No, może adeptem coraz lepiej zorientowanym. Biblioteka ma wielką mądrość, jest nawet starsza niż sam Instytut – w jej skład weszły bowiem księgozbiory polonistyczne gromadzone jeszcze przed wojną i cudem ocalałe. To naprawdę wyjątkowe, że ten skarb w ciągu pięćdziesięciu lat udało się w całości zachować i wzbogacić. Poprzez książki pracowników Instytutu i dorobek wszystkich korzystających z tych zbiorów służy on wszystkim polonistom i całej humanistyce.

Jest oczywiście i druga strona medalu.

Znamy ją dobrze. W czytelni trudno się skupić z powodu ruchu ulicznego. Trzeba by wymienić okna na szczelne, ale to kosztuje i wymaga założenia klimatyzacji. Ginę czasopisma, nawet zupełnie pospolite. Co jakiś czas powraca problem przepiętnionych magazynów. Pracownicy mało zarabiają. W zbiorach są dotkliwe luki. Dotyczy to nie tylko książek obcych, które w pewnych okresach były prawie niedostępne. Nie ma na przykład ważnych tomików poetyckich opublikowanych niedawno, jeśli wydało je mało znane wydawnictwo o ograniczonej dystrybucji. To ujemna strona decentralizacji rynku. Z kolei różne klasyczne pozycje poginęły – nie z powodu bałaganu, ale przez beztroskę lub nawet nieuczciwość czytelników. Istnieją książki, których nie sposób pożyczyć, bo ciągle są w czytaniu. I wreszcie: nasza Biblioteka jest technicznie zapóźniona. Kserokopiarka jest od niedawna i niestety się psuje. Komputeryzacja z braku środków postępuje powoli i nie sądzę, byśmy za 10 lat mogli doczekać się takiego komputera, jaki już 10 lat temu zastępował katalog rzeczowy w bibliotece paryskiego Centre Pompidou i cierpliwie odpowiadał na wszelkie pytania.

Ale o tym wszystkim – wiemy aż za dobrze. To jest codzienność. Może czasem warto zapomnieć o niej na chwilę? Opatrzność Biblioteczna to wielka niewidzialna mądrość, która szczęśliwie czuwa nad IBL-em. Sprzyjaj nam, Biblioteko!